



La mort i la primavera

Mercè Rodoreda

Śmierć i wiosna

Zacząłem iść przez wilgotne na wierzchu trawy i zza zarośli na szczycie wzniesienia wyłoniła się leśna szkółka. Drzewka miały miękką korę i były bezlistne, ale każde z nich będzie miało we wnętrzu swojego zmarłego, gdy stanie się dużym drzewem i zostanie przesadzone do lasu. Przeszedłem pośród nich i były jak rzeczy, które można zobaczyć tylko we śnie. Zatrzymałem się przy wejściu do lasu, na linii odcinającej światło od cienia. Od kilku chwil widziałem obłok motyli. Drzewa w lesie były bardzo wysokie, miały gęste korony i pięciopalczaste liście, i tak, jak często opowiadał kowal, każde drzewo miało u stóp tabliczkę i żelazny pierścień. Motyle były białe, a były ich miliony. Latały niespokojne i wiele z nich wyglądało jak nie do końca rozwinięte kwiaty, białe z połyskiem zieleni. Liście poruszały się i promienie słońca przeskakiwały z jednego na drugi, a pomiędzy nimi widać było plamy błękitu. Na ziemi leżały stare liście, bardzo suche, a spod spodu wydobywał się zapach zgnilizny. Podniosłem jeden z nich: był on jedynie siateczką nerwów, jak deski i belki domu, pozbawione tego, co je łączy. Wyciągnąłem się pod drzewem i przez tę siateczkę patrzyłem na obłok motyli, który gorączkowo poruszał się między liśćmi; w końcu zmęczyłem się, a gdy wypuściłem liść z ręki, usłyszałem kroki.

Jednym skokiem ukryłem się w zaroślach. Kroki zbliżały się. Krzewy miały żółte, rozwinięte kwiaty z pięcioma płatkami błyszczącymi po wewnętrznej stronie; znalazła w nich schronienie pszczoła, która teraz oczyszczała nóżki z pyłku. Byłem pewien, że jest to ta sama pszczoła, która leciała za mną od wioski i przedostała się przez rzekę.

Odgłos kroków ustał. Było tak cicho, a ja nasłuchiwałem z tak wielką uwagą, że zdawało mi się, że słyszę czyjś oddech, a od słuchania i ciągłego wrażenia, że coś słyszę, zrobiło mi się ciężko na duszy: poczułem ten sam zły niepokój jak wtedy, gdy upływały godziny, a wioska była pusta, i z trudem wytrzymałem, zamknięty w szafie... Teraz czekałem... tak samo. I wszystko było takie samo: liście takie same, i drzewa, i motyle, i czas, który pośród tego cienia wydawał się martwy... I wszystko było inne.

Znów usłyszałem kroki, bliżej, i zobaczyłem ostry błysk pomiędzy liśćmi. Mężczyzna, który nadchodził, niósł na plecach siekiere, a w ręce widły. Był nagi od pasa w górę i miał pokaleczone czoło. Blizny na czole, pokaleczonym podczas przepływania przez rzekę, nie pozwalały mu zamknąć oczu. Zawsze zostawała szpara, bo skóra, czerwona i napięta, zbyt mocno się ściągnęła. Czarne włosy pokrywały mu pierś. I cały był spalony słońcem.

Zdawało się, że pszczoła i kwiat śpią, aż powiał wiatr i kwiat zaczął się kołysać, a pszczoła uciekła ze środka i odleciała, ocierając się o mój policzek, a gdy kwiat znieruchomiał, wróciła do niego.

Mężczyzna zostawił widły i siekiere pod drzewem, wytarł usta wierzchem dłoni i, nieco zdezorientowany, rozejrzał się wokół siebie. Bałem się, że mnie zobaczy, bo zatrzymał wzrok na zaroślach. Ale nie. Chodził od drzewa do drzewa i czytał tabliczki wiszące na pierścieniach.

Przechodząc od jednego z drzew do następnego, potknął się i o mało co nie upadł. Potem poszedł w głąb lasu. Odetchnąłem głęboko dopiero wtedy, gdy straciłem go z oczu, bo przez cały ten czas ciężar, który czułem w piersiach, nie pozwalał mi nabrać tchu. Obłoki płynęły wolno, stadami; chciałem nimi dowodzić i prowadzić je tam, dokąd miałbym ochotę... a grupa najmniejszych zatrzymała się dokładnie nad samym lasem, i została tam tak długo, jakby w ogóle nie miała już chęci płynąć dalej. Gdy grupa małych obłoków zebrała się do ucieczki, mężczyzna wrócił. Ciosami siekiery zaczął wycinać krzyż w pniu jednego z drzew: przedtem, za pomocą kamienia, wyznaczył jego kształt, z góry na dół, od jednego boku do drugiego. Pracował zawzięcie, a po chwili padł na kolana i wybuchnął płaczem. Wstrzymałem oddech. Wstał, płacząc, splunął w dłonie i zatarł jedną o drugą. Pszczoła wylatywała z kielicha i powracała. A siekiera uderzała w pień i wycinała w nim szczelinę.

Przy pierwszych uderzeniach motyle zbiły się w obłok. Dwa zniżyły lot ku trawie i przyczepiły się do nogi mężczyzny, który otwierał pień drzewa. Pszczoła spijała nektar z kwiatu. Mężczyzna odpoczął i znów splunął w dłonie; gdy je zacierał, trzymając siekierę pod pachą, spojrzął w górę i przez moment przypatrywał się z zachwytem motylom. Wrócił do pracy bardziej zmęczony, jakby za każdym razem, gdy wznosił siekierę, dźwigał równocześnie cały ciężar życia.

Upłynęła długa chwila i mężczyzna rozcinał teraz poziomą część krzyża. Uderzał i uderzał... Dwa motyle, które przykleiły mu się do nogi, usiadły tak blisko siebie, oba z tak ściśle złożonymi skrzydłami, że wydawały się jednym motylem. Plecy mężczyzny lśniły od potu, żebra też; był bardzo chudy. Miałem ochotę podejść do niego i powiedzieć, że czasem, przy palenisku pełnym iskier i między dwoma uderzeniami młota kowal opowiadał mi o lesie i zmarłych we wnętrzu drzew.

Traducido por Barbara Łuczak